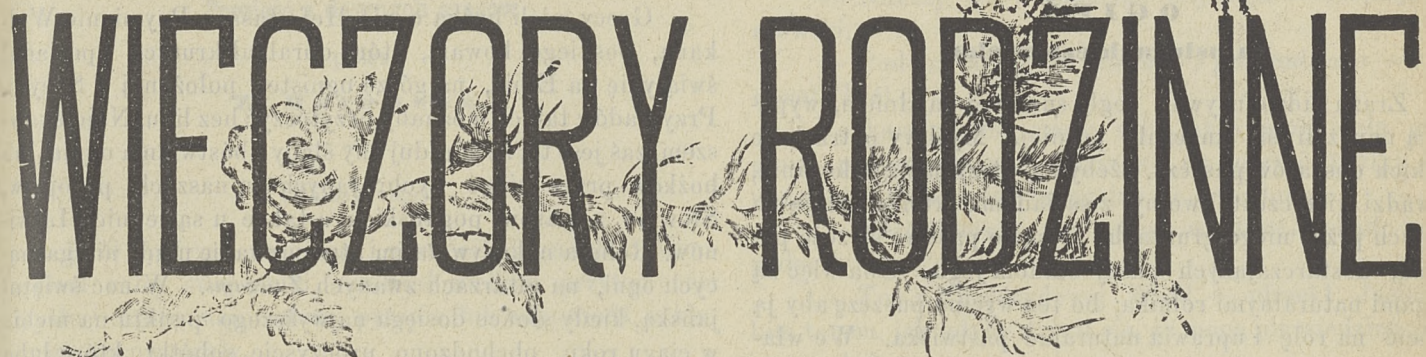


WIECZORY RODZINNE



Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Manifest Najwyższy.

MY, MIKOŁAJ II,

Z BOŻEJ ŁASKI

CESARZ I SAMOWŁADCA

WSZECHROSYJSKI

Król Polski Wielki Książę Finlandzki

i t. d., i t. d., i t. d.

Wiadomo czynimy wszystkim wiernym poddanym NASZYM:

W dniu 28-ym bieżącego czerwca zmarł w Abas Tumanie umiłowany BRAT NASZ CESARZEWICZ NASTĘPCA TRONU i WIELKI KSIĄŻĘ JERZY ALEKSANDROWICZ.

Choroba, która dotknęła JEGO CESARSKĄ WYSOKOŚĆ, mogła jeszcze, jak się zdawało, ustąpić, dzięki działaniu przedsięwziętego leczenia i wpływowi klimatu południowego, ale Bóg chciał inaczej.

Poddając się bez szemrania woli Bożej, MY wzywamy wszystkich wiernych poddanych NASZYCH, aby podzielili z NAMI smutek serdeczny i żarliwe modły o spokój duszy zgasłego NASZEGO BRATA.

Odtąd, dopóki Bogu nie podoba się pobłogosławić NAS narodzeniem się syna, najbliższe prawo następstwa Tronu Wszechrosyjskiego, na ściślejszej podstawie zasadniczego prawa państwowego o następstwie tronu, należy do najukochańszego BRATA NASZEGO WIELKIEGO KSIĘCIA MICHAŁA ALEKSANDROWICZA.

Dan w Peterhofie w dniu 28-ym czerwca, w roku od Urodzenia Chrystusa tysięcznym ośmsetnym dziewięćdziesiątym dziewiątym, panowania zaś NASZEGO piątym.

NA oryginalne Własną JEGO CESARSKIEJ MOŚCI ręką napisano:

„MIKOŁAJ.”

Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

OGIEŃ na usługach człowieka.

Zrazu ludzie używali cegły suszonej na słońcu, wypalać ją nauczyli się znacznie później. Myśliwy potrzebuje wielkich obszarów puszczy, ażeby się utrzymać z polowania, prowadzi więc częste wojny z sąsiadami, którzy polują na zajętych przez niego gruntach; to samo pasterz strzeże pastwisk, dostarczających paszy stadom jego. Oba więc są wrogami naturalnymi rolnika; bo ten wycina puszcze aby ją obrócić na rolę i uprawia naturalne pastwiska. We własnym interesie szuka on sąsiedztwa innych rolników, żyje z nimi w zgodzie; w ten sposób powstają wsie i miasta, których niema wcale w krainach, zamieszkałych przez dzikich koczowników.

Ogień jest nieodstępnym towarzyszem i pomocnikiem człowieka osiadłego, który mając obfitość pożywienia, w wolnych od uprawy roli chwilach oddaje się przemysłowi, bada własności ciuł, zawartych w ziemi i dochodzi do zdumiewających wynalazków, zapewniających mu coraz to większe korzyści.

Nie należy się dziwić, że doznając tylu dobrodziejstw ze strony ognia, a nie znając bliżej jego natury, człowiek pierwotny i dziki, żywi dlań wielki szacunek, przechodzący niekiedy w kult, t. j. ubóstwianie.

Cześć ognia jest bardzo rozpowszechnioną na ziemi. Najprzód człowiek uważał ogień niejako za żywą istotę, obdarzoną ruchem, syczącą, wyjąca i pożerającą, jak zwierzę. Później, widział w nim uosobienie bóstwa wlewającego życie w całą przyrodę, i rządzącego najważniejszymi zjawiskami tego świata. Mieszkańcy wysp Sandwich mieli boginię Pełę, zamieszkującą w łonie wulkanu i składali jej ofiary z ludzi. Starożytni Egipcjanie ubóstwiali źródło wszelkiego ziemskiego ognia i ciepła: słońce, oraz jego żonę księżyc. Peruwianie, mieszkający na zachodzie Ameryki południowej, mieli świątynię słońca i księżycy, a swego monarchę uważali za syna słońca. Murzyni wrzucają w ogień ofiary przeznaczone dla bożków, które jakoby w nim przebywają. Indianie amerykańscy uważali ogień za praojca wszystkich plemion indyjskich i odprawiali doroczną uroczystość na cześć jego. Wierzą oni, że duch, zamieszkujący ogień jest potężny zarówno w złem, jak w dobrem, lecz wymaga częstych ofiar, ażeby być w dobrem usposobieniu. Indianie błagają go więc o szczęście w polowaniu i rybołówstwie, o szybkoconie rumaki, posłuszne żony i męskich potomków. Meksykianie starożytni mieli boga słońca i ognia, któremu oddawali cześć, jako temu, kto zsyła ciepło, piecze ciasta i mięso. Z tego powodu pierwszy kawałek każdej potrawy rzucano na ogień w ofierze. Mieszkańcy wysp oceanu Spokojnego wierzą w istnienie bóstwa ognia, który podsyca żar wulkaniczny i udaje się do wnętrza ziemi, aby przynieść ludziom ogień. W Afryce zachodniej Murzyni stawiają w mieszkaniach garnek z ogniem, składają mu ofiary, aby przebywał w garnku i nie wychodził niszczyć chaty.

Najbardziej jednak rozpowszechnił się kult ognia

w Azji. Według świadectwa ksiąg świętych u starożytnych Parsów, ogień jako największy bóg jest sprawcą wzrostu i zdrowia, chciwy drzewa, kadzidła i tłuszczu. Ta sama sekta Parsów do dziś dnia modli się do utrzymywanego ciągle ognia, uważanego za święty żywioł.

Grecy mieli bożka ognia Hefestasa, a Rzymianie Wulkaną, boskiego kowala, który obrabiał kruszce i posiadał świątynię na Etnie, na górze ognistej, położonej w Sycylii. Przykładów takich możnaby przytoczyć bez liku. Najciekawszem, zaś jest to, że znajdujemy ślady ubóstwiania ognia, lub bożków przez niego wyobrażanych i u naszych praojców, Słowian z czasów pogańskich, a także u sąsiednich Litwinów. Religia nakazywała im utrzymywanie nigdy nie gasnących ogni, na ołtarzach zwanych *Zniczami*. W noc świętojańską, kiedy słońce dosięga najwyższego punktu na niebie w ciągu roku, obchodzono uroczystości sobótki, które lubo zmienione, przetrwały do naszych czasów, jako obyczaj po wsiach.

Po zachodzie słońca rozpalano w lesie lub na łące przez tarcie dwóch kawałków drzewa, wielkie ogniska, dookoła których dziewczki i chłopcy osobno urządzali korowód, śpiewając pieśni. Dziewczęta przytem miały na głowach i biodrach wieńce i przepaski z pewnego gatunku zioła, zwanego bylicą. Starcy przyglądali się korowodom, gęślarze grali na gęślach, a potem skałano przez ogień, który, podług przekonania Słowian starożytnych posiadał moc oczyszczania, a także odejmowania rzuconych uroków i zabezpieczenia od chorób. W niektórych okolicach przed obchodem Kupały, czyli sobótek, brano kąpiel w rzece i puszczano na wodę wianki, jak to dziś jeszcze czynią dziewczęta. W noc świętojańską miała także zakwitać paproć i przynosiła szczęście temu, kto znalazł i zerwał jej kwiecie.

Kult ognia dowodzi, że poganie zdają sobie doskonale sprawę z dobroczynnej potęgi tego żywiołu, który w gruncie rzeczy jest tylko objawem ciepła. Obecnie nauka wyjaśniła nam dokładnie jego naturę, a wiara objawiona pozbawiła go dawno owego piętna boskości. Rozum jednak budzi w nas uwielbienie i podziw dla tej siły przyrody, tak ważnej w życiu ludzi, zwierząt i roślin na ziemi.

Zobaczmy teraz, czem jest ogień według fizyki i chemii.

Ażeby zrozumieć jego naturę, przypatrzmy się uważnie płonącemu kawałkowi drzewa.

Widzimy wyraźnie, że w gorącu pieca drzewo wydaje z siebie biały dym, który zapala się płomieniem świecącym i kopącym; dym ten można oddzielić i spalić zdaleka od drzewa w następujący sposób:

Bierzemy cienką rurkę metalową na kilkanaście cali długą, z jednej strony zamkniętą, wkładamy do środka szczyptę trocin suchych i koniec rurki zawierający owe trociny umieszczamy w ogniu lampy gazowej, albo spirytusowej. Rurka a z nią drzewo silnie się rozgrzewa; trociny zaczynają wypuszczać z siebie gaz, który wychodzi przez otwarty koniec, w postaci białego, duszącego dymu. Zbliżamy zapałkę i ów gaz, wydobyty z nagrzanego drzewa, zajmuje się jasnym płomieniem!

(d. n.)

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Król spojrział na niego, i odwrócił się nagle. Mimo bowiem całej swej nauki, nie miał wielkiej przytomności umysłu i często najprostsze pytanie lub odpowiedź w kłopot go wprowadzały.

Odpowiedź jednak młodzieńca podobała się znać podkanclerzemu, bo po zmarszczonej jego twarzy przebiegło pewne zadowolenie. Spojrzął więc przenikliwie na Niewdźyda, a przez myśl jego przebiegło:

— Sprytna jakaś sztuka, wziąć go na swój dwór, czy tutaj zostawić?... — zapytał w myśli sam siebie.

Zdecydował się snąć na to ostatnie, bo rzekł zaraz, zwracając się do stojącego przy drzwiach chłopca.

— Padnij do nóg najjaśniejszemu panu i podziękuj za łaskę, że cię do usług swych przyjmuje.

Michał nie myślał nawet o tem, zadowolony był jednak, że podkanclerzy go wyręczył, i tak małym według niego kosztem, wynagrodził ранego młodzieńca. Zresztą podobała mu się szczerza i otwarta twarz chłopca, nie miał więc nic przeciwko temu, że go będzie miał na zawołanie.

Niewdźyd jednak, jakby rozważał sobie łaskę, która nań spływała, stał wciąż w miejscu, nie kwapiąc się z podziękowaniem.

— No, dalej, śmiało, zachęcał go Olszowski, wskazując siedzącego króla.

Młodzieniec spoglądał na podkanclerzego, to znów na króla; wreszcie posunął się i objął go nisko za nogi jedną ręką, drugą bowiem miał silnie obandażowaną, nie mógł więc nią poruszyć. Przyuczony był od małego, ilekroć zobaczył księdza proboszcza, lub dziękował mu za naukę zawsze go niziutko za nogi obejmować, uczynił więc i teraz tak samo. Jenó, że dla proboszcza serce jego biło jakimś serdecznem uczuciem, którego teraz wcale nie doznawał. Dalej przypomniał sobie, że ilekroć było kilku poważniejszych gospodarzy, lub krewniaków, matka kazała wszystkim niziutko do nóg się pokłonić. Pamiętny jej nauki, tak samo jak króla, obłapił za nogi stojącego po drugiej stronie stołu, Olszowskiego.

Po spełnieniu tego aktu grzeczności, poskrobał się z wielkiego zakłopotania za uchem i powrócił na swoje miejsce przy drzwiach.

Lecz znać ukłony szlachetki z Niewdźydowej Woli nie odpowiadały przepisom etykiety dworskiej, bo Olszowski zmarszczył brwi, a król uśmiechnął się nieco irzucił.

— Jak się nazywasz?

Chłopiec odwrócił się i wyprostowawszy odrzekł śmiało:

— Jan Niewdźyd, szlachcic z prapradziada.

Teraz nachmurzona twarz kanclerza rozpogodziła się mimowolnym uśmiechem.

— Mam tutaj wszystkie papiery — dodał ośmielony Niewdźyd, wskazując na piersi.

Podkanclerzy i król spojrzeli na siebie, bodaj po raz pierwszy porozumiewająco.

— Nauczy się dworskiego obyczaju — szepnął Olszowski.

— Podobna mi się ten *szlachcic z prapradziada* — rzekł wesoło król.

Podkanclerzemu nagle myśl jakaś przebiegła przez głowę, postanowił ją też wyzyskać na korzyść partyi szlacheckiej. Rzekł więc zwracając się do chłopca.

— Najjaśniejszy pan chce wiedzieć, skąd jesteś rodem?

— Toć z Niewdźydowej Woli! — odrzekł Jasiek takim tonem, jak gdyby dziwił się, że mogą nie wiedzieć gdzie się urodził.

— A gdzie to ta Niewdźydowa Wola? — pytał dalej, powstrzymując uśmiech podkanclerzy. Spojrzął też przytem na króla, którego znać ta rozmowa bawiła, bo nie ziewał i nie miał twarzy znudzonej.

— Panowie nie wiedzą? a toć przecie nieopodal Mławy i Niedźborza, na samych Mazurach! — mówił Niewdźyd.

Odpowiedzi chłopca tak rozweseliły króla, iż wstał i przypatrywał mu się ciekawie. Podkanclerzy zaś mając myśl jakaś ukrytą, pytał dalej:

— Niewdźydowa Wola do twego ojca należy?

— Gdzie zaś, należała pono do prądziadka, ale potem jak się zaczęli z nim prawować, tak mu wszystko zabrali. Tutaj to wszystko spisano, niech jeno król dobrodziej i jegomość przeczytają! — dodał wyjmując sporą paczkę papierów, zaszytych w przesiąkniętą potem szmatę, na której znać było nawet ślady krwi z odniesionej rany.

Mimo wstępu jakim przejmowała brudna powierzchność paczki, wziął ją jednak Olszowski delikatnie we dwa palce i położył na stole.

— Oj krew na nią padła, żeby się jeno papiery nie powalały — mówił Niewdźyd, wskazując z niepokojem oczami na skarb swój leżący na stole.

Króla tak bawiła ta rozmowa, iż nie tylko nie zasłaniał ust ręką dla pokrycia ziewania, lecz śmiał się serdecznie. Rzekł więc do zaniepokojonego o swój skarb chłopca.

— Nie bój się, papiery nie zginą, rozpatrzymy tę sprawę.

Podkanclerzy usłyszawszy to, pomyślał sobie.

— Dobry miałem nos, ten chłopak ze swoją nieokrzesaną prostotą, przyda mi się bodaj.

I zaraz zapytał:

— Gdzież twoi rodzice?

— A na cmentarzu w Niewdźydowej Woli. Ojca nie baczę, ale jego mogiła to zaraz na prawo od furtki, matka tam posadziła brzozę. To też i matusię ksiądz proboszcz kazał pod tą samą brzozą pochować. Onać to bodaj na dwa tygodnie przed Świątkami pomarła, — dodał westchnawszy głęboko i zamilkł. Wspomnienie matki odjęło mu na chwilę rezon, z którym nie bacząc na dostojność osób, prowadził tak śmiało rozmowę.

Król spojrział nań jeszcze uważniej; i jemu przysłała na myśl w tej chwili matka, która tak dzielnie znosiła wszelakie przeciwności losu i teraz wciąż, jak gdyby był jeszcze dziecęcikiem, otaczała go swą opieką. Czuł nad sobą jej dłoń energiczną, serdeczną, a chociaż może nie umiał oce-

nić doniosłości rad tej dzielnej niewiasty, niemniej kochał ją serdecznie.

Wyraży więc Niewdzyda i żal za rodzicielką, poruszyły w obojętnym na wszystko królu, jakąś serdeczną strunę i wywołały jeszcze większe zainteresowanie się sierotą.

— Dobrze! — pomyślał sobie podkanclerzy, dojrząwszy ten objaw na twarzy króla.

Pytał więc dalej przestępującego z nogi na nogę chłopca.

— Jakżeś się tutaj dostał?

Niewdzyd opowiedział znane nam już dzieje, nie zominając o znalezionym worku. Zamilczał tylko o ciągłych zabawach i pijaństwie na dworze pana Fortunata,

Król nic nie mówiąc skinął głową.

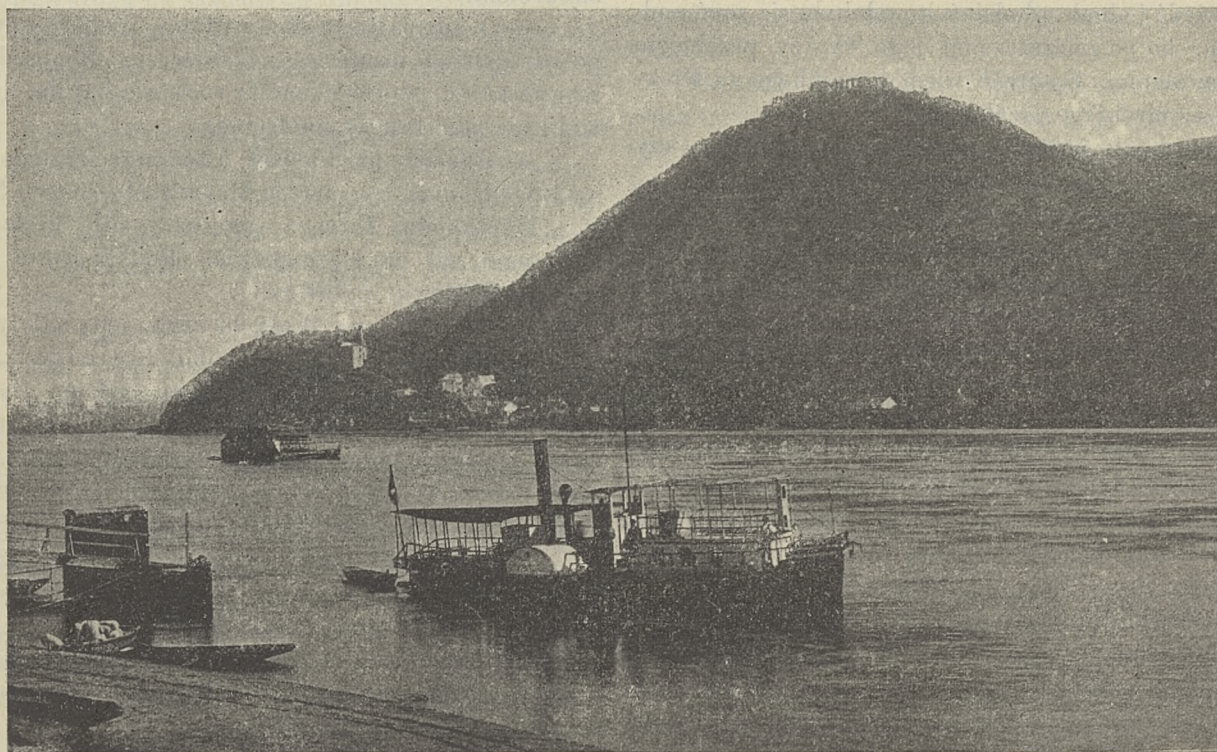
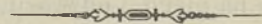
— Odejdź! — rzekł Olszowski. — Ubiorą cię tam właściwie i przyuczą obyczajowi dworskiego.

Niewdzyd nie rozumiejący zgoła obyczajów dworskich, zdziwił się tą nagłą zmianą łaskawych dla siebie panów, którzy dotąd rozmawiali z nim chętnie i wyciągali go na słówka, stał teraz nie ruszając się z miejsca.

— Odejdź! — powtórzył szorstko rozkaz podkanclerzy.

— Ba, a te papiery?... — zapytał chłopak skrobiąc się za uchem.

(d. c. n.)



Wyszehrad.

nie zamilczał jednak o tem, jak go upojono i za króla przebrano, i jak on potem sam króla udawał.

— Kiedy tak — myślę sobie — zrobiliście mnie królem to ja wam też zacznę rozkazywać! Jeno zaś potem znudziła mi się ta królewskość, boć też nie bardzo słuchano! — kończył Jasiek przydługie nieco swoje opowiadanie.

Zajęty niem nie zwrócił uwagi, że król Michał spuścił głowę i westchnął, złożywszy ręce na piersiach we właściwy sobie sposób, puścił młynka palcami.

— Bodaj we mnie się zabawili! — szepnął król jakby do siebie w zamyśleniu.

Podkanclerzy, który słuchał z pewną zadumą opowiadania chłopca, w duszy je sobie rozważał, ocknął się teraz z zadumy.

Udał jednak, że nie dosłyszał słów królewskich i zapytał wskazując z uśmiechem na Niewdzyda.

— Najjaśniejszy pan każe mu zapewne odejść.

SŁOWACY, ICH ŻYCIE I OBYCZAJE.

„A czy znasz ty bracie młody
Te pokrewne twoje rody?”

pyta Wincenty Pol w znanej swej pieśni. Poeta ma na myśli narody pokrewne nam językiem i pochodzeniem, należące do wielkiej rodziny słowiańskiej, do której należą także i Słowacy. Widujemy u nas często druciarzy słowackich, którzy chodzą od domu do domu, sprzedając pułapki na myszy i inne drobiazgi. Ci druciarze mają swój własny kraj duży i piękny, ale rolnicza ludność w górach nie znajduje dosyć chleba w swych wioskach rodzinnych więc idzie szukać szczęścia na obczyźnie. Gdy poszukamy na mapie kraju zamieszkałego przez Słowaków, znajdziemy po lewej stronie Dunaju, niewielką prowincję zwaną Sławonią, która się ciągnie aż do rzeki Drawy; ale w rzeczywistości ojczyzna Słowaków sięga znacznie dalej poza prawe brzegi Dunaju, aż do dopływu Cisy. W połowie zasłaniają tę szeroką równinę Tatry i góry Liptowskie.

Historja Słowaczyny łączy się ściśle z dziejami Węgier. Jakiś czas wraz z nimi znajdowała się pod jarzmem tureckim, następnie wróciła razem z Węgrami do monarchii austriackiej i zostaje do dziś dnia pod jej panowaniem.

Węgrzy obchodzą się ze Słowakami po macoszemu i niechętnie widzą obcy, słowiański żywioł w swem państwie.

Mimo tego literatura słowacka rozwija się i kształci, a kto wda się w rozmowę z góralem liptowskim, ten zauważy, że podobną jest jego mowa do języka polskiego.

Głównem bogactwem piśmiennictwa słowackiego są pieśni, sięgające nieraz dalekiej przeszłości.

W ostatnich latach powstał w Turczańskim św. Marcynie głównem mieście Sławonii „Dom Narodowy” wspaniały, obszerny budynek, gdzie się mieści biblioteka, muzeum, teatr, kasyno, kawiarnia i hotel, wszystko to w ręku słowackiem. Najpoczytniejszem obecnie piśmem są „Narodnie Nowiny.”

Słowak ma duszę bardzo poetyczną, wrażliwą na piękno. I nie dziw, bo zrodził go i wykołysał kraj, który łączy w sobie najradsze piękności przyrody. Tam w oddali sinitęją Tatry ze swym starym Krywaniem i Łomnicą, tam góry Liptowskie, bogate w grotty podziemne, pełne stalaktotów i stalagmitów. A przyjdzie ci ochota zejść z gór i zstąpić na równinę, to jak tylko okiem sięgnąć, widzi się żyzną nizinę ze świerkowemi lasami i winnicami — wszystko ujęte w dwie wstęgi wodne: modrą Cisę i Dunaj siny. Kraj pełen ruin i zameczysk, a lud śpiewa i opowiada niezliczone baśnie i podania. Szczególnie trzy miejscowości ubrała fantazja ludowa w klechdy i legendy.

Na lewym brzegu Wagi leży starożytny zamek Batorych, zwany Tematyna. W XVI wieku mieszkała tu słynna z piękności i okrucieństwa Elżbieta Batorówna.

Ciekawe podanie przywiązane jest do zamku trenczyńskiego, w którego pobliżu znajduje się studnia na 150 m. głęboka. Panem Trenczyna był niegdyś Stefan Zapolya. W bitwie z Turkami wziął młody rycerz do niewoli piękną Fatymę, córkę sultana Achmeta, a narzeczoną chana tatarskiego, Selimana. Narzeczoną szukał swej Fatymy po ca-

Słowaczka.



Presburg.

łym kraju węgierskim, aż znalazł ją wreszcie na zamku w Trenczynie. Ale Zapolya nie chciał wydać branki, nie pragnąc bogatego okupu. Wtem przyszło mu na myśl, że jego włości potrzebują wody źródlanej i przyrzekł chanowi oddać narzeczoną, jeśli wykopie studnię. Chan zgodził się na to, sprowadził robotników z Krymu i po trzech latach trysnęła woda ze skalistego brzegu Wagi.

Opodal Trenczyna leżą także ruiny zamku Hryczowa. Pokazują tam ogromny kamień w kształcie grożącego ręką mnicha. Lud okoliczny mówi, że niegdyś żyła na zamku bogata wdowa, która przybrała za syna młodego Tunzona. Lecz paniczowi długo było czekać na śmierć wdowy i odziedziczenie majątku. Zamknął swą dobrodziejkę w piwnicy i umorzył ją głodem. Pewnego dnia przyszedł na zamek mnich z prośbą o jałmużnę. Tunzon kazał mnicha służbie wypędzić i wyszczać psami. Zakonnik odchodząc rzucił klątwę na srogiego pana i na jego siedzibę.

Nazajutrz rano słudzy znaleźli przed bramą kamiennego mnicha. Pan kilkakrotnie kazał burzyć ten pomnik swej chciwości, lecz napróżno! przez noc kamień wyrastał z ziemi. Dręczony wyrzutami sumienia, Tunzon opuścił zamek, na którym widocznie ciążył gniew Boży, i po kilku latach ze wspianiałego Hryczowa zostały tylko ruiny.

Ta bogata wyobraźnia Słowaków, odbija się także w ich silniej wierze, w gusła i czary. Pełno tam zabobonów i przesądów. Po polach tańczą „wile,” koło rzek i jezior kręcą się „topielice,” a „bossoki” przemieniają się w ropuchy, aby odbierać krowom mleko. Zachowało się tam dużo dawnych zwyczajów, przywiązanych do pór roku. I tak na Nowy Rok chłopcy chodzą po domach z wężem drewnianym, a w czasie między Trzema Królami i Matką Boską Gromniczną, urządzają coś w rodzaju naszych jasełek. Po wsi obnoszą dziewczynki kołyskę z dużą lalką, towarzyszy im chłopiec, który przedstawia św. Józefa, podczas gdy jedna z dziewczynek przedstawia Matkę Boską. W wigilię św. Jana odprawiają Sobótkę, a w wigilię św. Andrzeja leją wosk, tak jak u nas.

Z tego umiłowania zabytków przeszłości wypływa także przywiązanie do stroju narodowego. Jest on malowniczy i barwny, lecz nie jest jednolity, bo górale ubierają się inaczej niż mieszkańcy równin. Góral tatrzański nosi duży kapelusz i długą gunię, a Liptak nie rozłącza się z kożuchem zimą i latem. Na pierwszy rzut oka można mieszkańca nizin, po małym kapeluszu filcowym, szerokich spodniach płóciennych i frendzlą u krótkiej guni. Narzeczeni stroją kapelusze w zielone liście i bukiecik ze sztucznych kwiatów, zwany „perko.” Tem samem odróżniają się narzeczone od innych dziewcząt. W ogóle kobiety stroją się tu w żywe kolory, wiążą dużo wstążek, koronek, koralików i paciorków.

Wieś słowacka przedstawia zupełnie odrębny, oryginalny widok. Wygląda raczej na miasteczko, bo chata stoi tak blisko przy chacie, że wąskie szczyty prawie się ze sobą stykają. Przed domem ogródeczek, wewnątrz nadzwyczaj schludnie i porządnie; długie ławy i stoły lipowe, na stole leży dniem i nocą chleb w płótno owinięty, jako godło gościnności.

Mile uderza u Słowaków ich sposób życia rodzinny, nieledwie patryarchalny. Ojcu, jako głowie rodziny przysługuje jedynie prawo wchodzenia do izby w kapeluszu. W rodzinie panuje wielka karność, posłuszeństwo i poszanowanie dla starszych. W jednej zagrodzie mieszkają rodzice, synowie z żonami i dziećmi, a czasem nawet córki z mężami, a jednak w domu panuje wzorowa zgoda.

W czasie żniw zamożniejsi jadają pięć razy dziennie: pierwsze i drugie śniadanie (hruby i tenki fruszytk) obiad (obed) podwieczorek (swacina) i wieczerza (wecera). Jedzą wszyscy z jednej misy i popijają wódką (palenką) z jednej butelki. Ulubione potrawy narodowe są: „haluszki,” rodzaj makaronu z bryndzą, dalej pierogi i wędzona wieprzowina.

Nadzwyczaj hucznie bywają obchodzone u Słowaków wesela, a zawierają tyle ceremonii, że trwają właściwie czte-

ry dni. Na pogrzebach widzimy rodzaj dawnych płaczek słowiańskich, które płaczą, zawodzą i łamią ręce. Krewini zmarłego mieliby sobie za ujmę, gdyby ksiądz nie powiedział mowy pogrzebowej, a nauczyciel „rychtor” nie wygłosił wiersza żałobnego.

Charakterystyczną cechą Słowaków jak Słowian w ogóle jest wielka gościnność. Każdego przybysza witają i żegnają pozdrowieniem „Z Bohom,” a odznaczają się uprzejmością i uczynnością bez względu na zysk i zapłatę. Lud to w ogóle zacny, łagodny, pełen dobrych popędów.

Jesienią r. b. otwartą będą koleje, która pójdzie z Krakowa przez Zakopane na Węgry, aż hen ku Słowaczynie, co ułatwi zwiedzanie tego uroczego kraju, o którym tak pięknie mówi Stefan z Opatówka:

„Ten kraj Słowaków dziwi cudnie,
Kraj głośnych gór a cichych ludzi,
Kto z Tatr się spuści na południe,
Taka go swojska woń obudzi,
Tak nie mu obce, ni on komu
Jak w ukochanej siostry domu.”

Ryciny nasze do tego artykułu przedstawiają Słowaczkę w stroju narodowym, widok Presburga (po słowacku Presporoh) miasta nad Dunajem i widok ruin zamku Wyszehradzkiego, niezmiernie malowniczo położonego, niezbyt daleko od Budapesztu.

DZIEWCZĘ Z JAGODAMI.

Dzbanek jagód cały
Wiejskie dziewczę niesie:
— Kup panoczku mały
Nazbierałam w lesie.
Aż mnie bolą nogi
Tylam się schylała,
Weź mój panie drogi,
Toć zapłata mała,
Dziesiąteczek kilka
Za śliczne jagody!
A mnie jeszcze milka
Czeka do zagrody.

— Cenisz dziewczę drogo
Swej rozrywki chwile,
Nie znajdziesz nikogo
Coby płacił tyle.

Toż nie krzywda w lesie
Szukać jagód w kolo,
Gdy ci biegać chce się
I nucić wesoło!

— Oj panie łaskawy,
To pan myślisz może,
Że ja dla zabawy
Szukam jagód w borze?

Nikt darmo nic nie da,
Zapracować trzeba,
A tam w chacie bieda
Braknie soli, chleba!...

.
Duma panicz młody,
Wreszcie głową skinie,
I wnet za jagody,
Co miał — dał dziewczynie.

Wiktor Dzierżanowski.

WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

— Przyprowadź ją tutaj! — żywo i tonem zupełnie innym od poprzedniego, odezwała się Ludwika.

Marysia pobięła spełnić polecenie, a Renia szepnęła.

— Dobra moja Luciu, ja wiem o tem, i uśmiechnęła się do niemłodej panny.

Ludwika w odpowiedzi pieszczącą dłoń przesunęła po jej złotych włosach.

Marysia powróciła niebawem z wieśniaczką lat średnich, która skłoniła się najrząd obu paniom zdaleka, poczem zbliżywszy się do Ludwiki, objęła jej kolana i przerywanym od łkań głosem, odezwała się prostując zwolna.

— Panuńciu kochana! radźcie niešťczęśliwej matce: mój mały zaniemógł czegoś raptem, tak mu gra w piersiach, jak u konającego.

Panna Ludwika podniosła się szybko z fotelu, podeszła do komody, wzięła stojącą tam hebanową szkatułkę i zwróciwszy się do Mateuszowej, rzekła:

— Pójdę z wami.

Na Renię nawet nie spojrziała; chore dziecko stało w tej chwili tylko przed jej oczami, je tylko miała na myśli: z opisu choroby lękała się, że to krup, a wiedziała z doświadczenia ile co rok dzieci umiera we wsi na krup z powodu spóźnionego ratunku.

Renia pogoniła za nią wzrokiem.

— I jak tu jej nie kochać — szepnęła sama do siebie, dążąc do swojej sypialni.

Chata Mateuszowej była jedną z pierwszych we wsi; Ludwika idąc spiesznie, w niespełna dziesięć minut stanęła u celu. W istocie, dziecku groziło niebezpieczeństwo: malec leżał z otwartymi ustami, źrenice miał rozszerzone, z piersi jego dobywało się chrapliwe rżenie.

— Pewnie krup będzie — szepnęła Ludwika, stawiając szkatułkę na stole — wody w szklanke nalejcie i łyżkę mi dajcie — dodała.

Poczem wzięła dziecku do gardła proszku emetykowego z wodą. Nie oddaliła się jednak zaraz; usiadła przy łóżku na którym leżało dziecko walczące z chorobą i póty je nie odstąpiła, dopóki lekarstwo działać nie zaczęło.

Mateuszowa była wdową, mieszkała z matką męża i z siostrą, wszystkie trzy siadły na ławie i szeptały pacierze za konających, łkając przytem głośno. Ludwika spoglądała na nie od czasu do czasu do czasu do politowaniem pełnym współczucia; lecz gdy lekarstwo działać poczęło i chrapliwe rżenie się zmniejszyło, wówczas podniosła się i położywszy dłoń na ramieniu Mateuszowej, rzekła z uśmiechem.

— Dość było pacierzy za konających, podziękujcie neraz Bogu, że odegnał śmierć od chłopca, a potem ziółek staperzcie. Mam nadzieję, że Józik za kilka dni biegać będzie po wsi.

Kobiety padły na kolana, złożyły ręce, podniosły wzrok na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, nad łóżkiem wiszący.

— O Jezusieńku najmilszy, Panienko Najświętsza, dzięki wam za łaskę cudowną! — odezwały się chórem.

A panna Ludwika nakryła tymczasem pierzyną zmęczonego chłopca.

— Spij sobie teraz spokojnie, jutro rano odwiedzę cię i przyniosę dobre rosoły — rzekła.

Poczem dobyła z apteczki suszonych malin, nasypała sporo do garnuszka i skinąwszy na Mateuszową, która ze złożonymi rękoma doniej pospieszyła, poczęła ją uczyć, jak

trzeba zalać i dawać ziółka i jaką zachować dyetę. Przytem dała rubla na cukier.

Mateuszowa pochyliła się jej do kolan.

— Bóg zapłać — rzekła głosem wzruszonym.

— Oj nie darmo to ludzie we wsi tak szanują i kochają panią — odezwała się stara babka ocalonego i zbliżyła się także z podziękowaniem.

Ludwika uśmiechnęła się z zadowoleniem, a brzydka jej twarz dziwnie wypiękniała z tym uśmiechem.

— Toć Pan Bóg sprawił, a nie ja — rzekła i lekkim krokiem podażyła do domu.

Nazajutrz rano spotkali się znowu mieszkańcy dworu Wątówki przy śniadaniu, w jadalni. Sen odświeżył bladym rumieńcem znużoną podróżną twarzyczkę Cesi, była stanowczo bardzo ładną; równie ładną, jak Renia, chociaż zupełnie do niej niepodobną. Renia, było to śliczne dziecko, uroda Cesi była poważną. Pan Wątowski z widoczną przyjemnością spojrzął na obie, poczem ucałował czule z kolei i rzekł do nich:

— Konie i powóz są dzisiaj cały dzień na wasze rozkazy, zwróćcie się do panny Ludwiki i zapytajcie, czy nie zechce wam towarzyszyć na jaką wycieczkę, w naszej Wątówce nie brak ładnych spacerów.

— Pojedziemy do „pięciu stawów” — odparła Regina, zajmując miejsce przy stole — tam tak ślicznie, a przytem będziemy mogły się zabawić w rybołówstwo. Czy lubisz łowić ryby? — zapytała naraz Cesię.

— Nigdy jeszcze nie łowiłam, lecz z ochotą towarzyszyć ci będę i spróbuję — odparła Cesia.

— A ty, Luciu, czy pojedziesz z nami? — zapytała Regina — tatuś nam trochę nie dowierza, będzie rad, gdy rozciagniesz nad nami swoją opiekę.

Panna Wałęcka była dzisiaj w dobrym humorze.

— Wybierziny się zaraz po śniadaniu, gdyż na jedenastą muszę być w domu — rzekła uprzejmie.

Renia podziękowała jej serdecznym pocałunkiem a Cesia uśmiechem.

Prześliczna w istocie była ta miejscowość owe pięć stawów. Niedaleko, wśród kwiecistych łąk leżało pięć stawów, niby pięć wielkich szmaragdów rzuconych ręką Stwórcy, pomiędzy śnieżne lilie wodne i turkusowe niezapominajki. Łątki o wątych skrzydłach unosiły się nad wodami, a w promieniach słońca kąpały się roje złotych muszek, których ojczyzną były te wilgotne łąki.

Gdy dziewczęta wyskoczyły z pojazdu, Cesia obejrzawszy się dokoła wykrzyknęła:

— Ach, jak tu ślicznie, doprawdy, można zawołać: „Zobaczyć pięć stawów, a potem umrzeć.”

Ludwika spojrziała wymownie na Reginę i wzruszyła ramionami, lecz powstrzymała złośliwą odpowiedź, jaka cisnęła się na jej usta.

— Przesadzasz trochę, Cesi — odezwała się Renia — ładne to miejsce bardzo i ja lubię, lecz wiem też, że u nas i zagranicą jest wiele stokroć piękniejszych miejscowości.

— Przesada jest dozwoloną w poezji — odparła z uśmiechem Cesia.

— Ale tylko w poezji — powtórzyła z naciskiem Ludwika.

— Czyż tak wielki grzech popełniłam, że pani tak surowo na mnie spogląda? — z pokorną miną zapytała Cesia. — Dnie nasze codzienne takie pospolite, słowa takie zwyczajne, iż gdy wyrwe się komu jaki wykrzyknik gorętszy, to chyba nie zasługuje na nagane?

— Ozdoby stylowe lubię tylko w księżce, w mowie wolę prostotę — rzekła Ludwika.

— Postaram się pani dogodzić — rzekła Cesia.

To mówiąc, zbliżyła się do panny Walickiej i wspinałszy się ku niej, przysunęła swoją drobną twarzyczkę do jej ust.

— Proszę mnie pocałować za tę obietnicę — dodała.

— Czy pocałunek mój ma być zadatkim? — zapytała Ludwika — jeśli tak, to go nie dam; pochodzę ze szlachty, której dane słowo wystarcza; obietnica twoja jest mi dostateczną, zwyczajów innych nie znam.

— I ja również — odparła Cesia urażona.

— Nie marnuj czasu i bierz się do roboty — odezwała się Renia, podając Cesi wędkę, gdyż chciała przerwać rozmowę zaczynającą wchodzić na tory drażliwe. — Słońce zacznie palić niebawem, a Lucia wdychać, że gorąco i wrócimy do domu.

— Już się nie gniewaj tylko na mnie — odparła Cesia — moja ty śliczna rusalko, zrobię wszystko co zechcesz; doprawdy, patrząc na ciebie myślę, że czarodziejką jesteś; że gdybyś zechciała, tobym nawet tę mokrą toń stawów przesłała bez namysłu.

— Znow przesadza — odezwała się Ludwika.

— Złapałaś mnie pani — odparła Cesia — przyzwyczajenie jest mocniejszym widocznie od najsilniejszych postanowień... Proszę panią, ile razy zaczę zbytnie górnolotnie się wyrażać, niech mnie pani zawsze wtedy skarci. Muszę się poprawić z tej naleciałości obcej; nie chciałabym, żeby ktoś więcej powiedział mi, iż mam cechy germańskiego pochodzenia. Wyznaję, iż przykro by mi było, gdyby mnie brano za Niemkę, skoro jestem Polką. Brzmienie nazwiska nie stanowi wszakże ani o uczuciach ani o narodowości...

Przy tych słowach głos Cesi lekko zadrżał, Renia objęła ją ramieniem i pocałowała serdecznie.

— Twój kij tutaj — rzekła, podnosząc wzrok ku białawym obłokom, przesuwającym się po błękitnym sklepieniu.

A panna Ludwika raptem przerwała rozmowę.

— Zostawię was na chwilę same — rzekła, i zwróciła się ku powozowi, zdala pod cieniem dębu na skraju łąki rosnącego.

— Czy nie będziesz łowiła ryb? — zawołała za nią Renia.

— Wiesz, że nie lubię tej zabawy — odparła Ludwika, nie zatrzymując się — mam interes na wieś, pojedę i wrócić niebawem.

— Daj mi wędkę — zwróciła się Cesia z temi słowy do siostry.

Renia ujęła ją pod rękę i do stawu poprowadziła.

— Zdaje mi się, iż przekonałaś Lucię — rzekła.

Cesia nic nie odpowiedziała, jeszcze nie otrząsnęła się ze wzruszenia. Siadły obok siebie i zapuściły wędki w wodę, poczem milcząc patrzyły na nieporuszoną jej toń. Cesia pytała siebie, czy ta woda cierpi równie jak jej serce, gdy ją ktoś zbyt gwałtownie porusza, a Renia niespokojnie ryb wypatrywała.

Tymczasem Ludwika, wsiadłszy do powozu, kazała jechać do chaty Mateuszowej i myślała o Cesi.

— Może to nie tak bezmyślna lala, za jaką ją osądziłam — mówiła do siebie w duszy — wcale rozumnie odezwała się dzisiaj kilka razy, lecz czemu ten Freyden opuścił swoją ziemię i swoich braci, muszę dowiedzieć się o tem; Wątownski mi powie, mała może nie wie prawdy.

Z takimi myślami zajechała przed chatę. Mateuszowej nie zastała; poszła w pole z siostrą; nad chorym czuwała babka; malec czując się zdrowszym, wrzeszczał, żeby mu dała jeść i odpychał ziółka podawane przez staruszkę. Wejście Ludwiki ucieszyło go wszakże natychmiast, schował się zawstydzony pod pierzynę, a babka wdała się w gawędkę z kochaną panniusią, jak nazywała Ludwikę; opowiadała jej, że mulec spał całą noc wybornie, że wróble święgotem go obudziły, iż od chwili gdy oczy otworzył, woła ciągle jeść. Panna Ludwika siadłszy na malowanej skrzyni pod oknem, wysłuchiwała z uśmiechem tego opowiadania, poczem zwróciła rozmowę na inny przedmiot. Poczęła dopytować staruszkę o jej zdrowie, o sąsiadów, co słychać w każdej chacie; kobiecina się rozgadała, każdy niemal miał jaką troskę. Ludwika słuchała uważnie, nazwiska bardziej dotkniętych niedolą powtarzała głośno, jakby utrwalić je chciała w pamięci.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Szczególne zastosowanie telefonu. — Odkrycie archeologiczne.

Mieszkaniec miasta Chicago miał psa, rasy Fox Terrier, którego bardzo wysoko cenił i lubił, a ten wywdzięczał się swemu panu wiernością i przywiązaniem. Wypadło mu jednak wyjechać z domu na dłuższy czas, a pies uczuł tak boleśnie nieobecność swego pana, że przestał przyjmować pożywienie i tak zesmutniał, że żona nieobecnego, zdjęta litością doniosła mężowi o stanie psa. Pewnego wieczoru udał się właściciel zwierzęcia do stacyi telefonicznej, w miejscu swego chwilowego pobytu, i kazał się połączyć ze swoim telefonem w Chicago, a trąbkę przyłożyć psu do ucha. Pies poznał natychmiast głos swego pana i począł się weselić i skakać z radości. Następnie pan ów powtórzył to doświadczenie kilka razy, a pies, poznając głos jego, przyszedł zupełnie do zdrowia i dawnej wesołości.

Odkrycie archeologiczne uczynił niedawno w Meksyku znany archeolog Sawille, znalazł bowiem mnóstwo zabytków pochodzących z zamierzonej epoki historycznej. Odkopał on mianowicie ruiny bardzo starego miasta, składające się z resztek wielkich niegdyś świątyń, pałaców i innych gmachów. W pobliżu ruin tych znaleziono szczątki obszernego gmachu z kolumnadą, przypominającego Akropol ateński. Uczeni przypuszczają na zasadzie pewnych danych z najstarszych dziejów Meksyku, że w punkcie tym stało niegdyś miasto Laszila.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Manifest Najwyższy. — Z dziejów cywilizacji przez Wł. Umińskiego (c. d.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — Słowacy, ich życie i obyczaje (z ryc.) — Dziewczę z jagodami, wiersz przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Wzajemna pomyłka, powieść przez Teresę Jadwigę. — Ze świata. — Dodatek: Nieproszeni goście, tchórz przez Maryę Weryho (z ryc.) — Siotrzyczki przez Zofię Kwiatkowską. — O, jak będę już dorosły, wierszyk przez H. B. — Skrzydła odwagi (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.

WIECZORY RODZINNE



NIEPROSZENI GOŚCIE.

Tchórz.

Cisza głęboka na podwórku, nawet Burek przestał ujadac i śpi smacznie w budzie.

Księżyc wzbija się coraz wyżej, coraz wyżej, jakby chciał oświecić każdy zakątek.

Pod parkanem przechadza się nieproszony gość, tchórz; stąpa po ziemi ostrożnie, cicho, aby kogo nie spłoszyć.

Zbliża się do stajni, obchodzi ją dokoła, żadnego wejścia, żadnej dziury; ogląda drzwi — zawarte; nareszcie znalazł szparę u spodu, to mu wystarczy. Przesuwa łeb i już jest w stajni.

Prędko wdrapał się na strych napełniony słomą, obrał sobie spokojny kącik i pozostał tu na stałe mieszkanie. Bo i dla czegożby nie miał tam zamieszkać? schowanie dobre i wygodne, na słomie miękko i ciepło i o pożywienie tu nie trudno.

— Byle tylko powoli... byle ostrożnie... — myśli tchórz — a do wszystkiego się dojdzie. Najpierw zacznę od królików, a później do kur i gołębi się dostanę.

Tak też postępował.

Cały dzień spał w stajni, a w nocy szedł na łowy. W tej samej stajni chowały się króliki, tchórz wybierał je sobie na obiad i dusił jednego po drugim; nie zadawał sobie trudu, żeby zjeść twarde mięso, wypijał tylko ciepłą krew i mózg z czaszki wyjadał.

Wkrótce na podwórku był jak u siebie, dowiedział się o wszystkich skrytkach w domu, trafił nawet do piwnicy. Rozgląda się tam, stoją na ziemi dwa słoje z mlekiem, przykryte małą deseczką. Tchórz wspina się na tylne łapki i zaczyna śmietankę językiem chlipać.

— Wyborna rzecz — myśli sobie — szkoda, że dawniej o tem nie wiedział.

Oblizuje się ucieszony i chce się zabrać do odwrotu, wtem spostrzega kosz z jajkami; ależ to jego ulubiona potrawa!

— To dziś mam ucztę prawdziwą! — zawołał.

Zbliża się do kosza, ostrożnie przedziurawia zębem jajko i wypija nie rozgniółszy nawet skorupy.

Byłby może dalej spustoszenie wyrządzał, ale posłyszal jakiś szelest, więc przez kratę okienka prędko do stajni wrócił. Postanowił jednak częściej do piwnicy zaglądać. Raz znów zakradł się w nocy do kurnika i tam najniespodziewaniej spotkał drugiego tchórza. Z początku oba rzuciły się na siebie jak nieprzyjaciele i o mało się nie zagryzły, ale jakoś się porozumiały i każdy dusił kury na swoją rękę.

Oddawna spostrzeżono ciągle szkody. Biadał stangret po królikach, gospodyni oplakiwała rzewnie kury i gołębie, ale nikt zaradzić temu nie umiał.

Aż w końcu traf wybawił ich od nieprzyjaciela.

Przyszedł raz jednego kuśnierza, który skupował futra po wioskach. Zaczęto mu opowiadać o tchórze i o szkodach.

— A toż moi drodzy nic łatwiejszego jak go złapać: weźcie potrząsk, ten sam co na lisa używacie, położcie jajko, i tchórza jak nic złapiecie.

Nazajutrz tchórz siedział już w zasadzce, a w parę tygodni potem gospodyni miała ciepły kołnierz z jego futerka.

Marya Weryho.

SIOSTRZYCZKI.

Moja Maniu, pomóż mi zrobić to zadanie — mówiła ośmioletnia Józia, do starszej o dwa lata siostrzyczki.

— Już znowu coś nowego — odburknęła niecierpliwie Mania. — Nic ci się samej nie chce zrobić.

— Ale bo ja nie rozumiem — mówiła z żalem Józia — zupełnie nie rozumiem tego zadania...

— Przecież ci panna Marya tłómaczyła je wczoraj, i słyszałam jak mówiłaś, że rozumiesz.

— No, bo rozumiałam, a od wczoraj już zapomniałam. Mam tyle do myślenia...

— Ty? do myślenia? — rzekła pogardliwie Mania — o czym ty możesz myśleć? Ja to co innego. Po wakacjach idę na pensję. Ho! ho! Jest o czem myśleć... Ale ty!

— I ja mam o czem. Myślałam o majówce w niedzielę. Ach! jak ja się cieszę! Będzie tyle osób! Mamusia mówiła do tatusia, że będzie kilkadziesiąt dzieci. Jak my się będziemy wybornie bawili! Może będzie można i w bal i w teatr!

— I w ślepą babkę i w czarnego luda! — zawołała Mania. — Ale uczmy się, bo tatuś powiedział, że jak w sobotę znajdzie się dwójka, to nic z majówki.

— Prawda! — rzekła z przestrachem Józia. — Moja Maniu, moja kochana, ty masz taką dobrą głowę, pomóż mi zrobić to zadanie.

— Ale mówię ci, że nie mogę, nie mam czasu. Aż strach, co mam lekcji na jutro. I ćwiczenie polskie, i tłumaczenie francuskie i arytmetykę.

— No, to co ja zrobię? Jak sobie poradzę? Ach, żeby mamusia była, ale wiem, że nie przyjdzie tak prędko... No, Maniu, wytłomacz mi...

— Ależ nie nudź mię — zawołała zniecierpliwiona Mania, i gwałtownie odsunęła kajet Józia. Jednocześnie przewróciła kałamarz i struga atramentu popłynęła na kajet Józia.

— O Boże! co powie panna Marya? — zawołała z rozpaczą Józia. — Panna Marya nie znosi nieporządku.

— Powiedz, powiedz, że to ja zrobiłam, to ja dostałem zły stopień z porządku... — mruzczała z gniewem Mania.

Józia tymczasem starała się wysuszyć kajet. Nic już nie mówiła, ale miała łzy w oczach.

Na drugi dzień przy lekcji arytmetyki nauczycielka zapytała Józia o kajet.

— Proszę pani — szepnęła Józia — ja... ja nie zrobiłam tego zadania... Nie mogłam.

— Nie mogłaś? A tak go dobrze rozumiałaś? Ale daj kajet to zrobimy teraz.

Józia ze strachem podała kajet.

— A to ładny porządek! — zawołała panna Marya, — któż to zrobił?

Józia milczała.

— Będzie znowu zły znak za porządek. Oj, Józiu, Józiu!

Zadanie szło biednej Józii bardzo źle. Myliła się, fałszywie o łpowiadała, nie uważała, bo myślała ciągle o złym znaku z porządku. Skończyło się tem, że panna Marya postawiła dwójkę z arytmetyki i zły stopień z porządku.

Po odejściu nauczycielki, Józia siedziała w kącie zapłakana, a Mania chodziła smutna i osowiała. Coś jej szeptało, że postąpiła źle, bardzo źle. Nie pomogła Józii w zadaniu, splamiła jej kajet i nie przyznała się do tego.

Wtem usłyszała głos ojca:

— To Józia ma dziś aż dwa złe stopnie? A więc w niedzielę pozostanie w domu...

Józia rozplakała się, ale nic nie powiedziała.

— Bo żeby to chociaż jeden, ale dwa jednego dnia! Józia ma za często złe stopnie z porządku — mówił dalej ojciec.

Tu już Mania nie wytrzymała dłużej. Rzuciła się z płaczem do tatusia i poczęła wszystko opowiadać. Długa chwila upłynęła zanim ojciec zrozumiał o co chodzi. Nie gniewał się na Manię, tylko podszedł do Józii, podniósł w górę i ucałował serdecznie.

— Tatusiu, czy ja pojedę na majówkę? — spytała nieśmiało Józia

— To zależy od panny Maryi. Opowiecie jej jutro całą sprawę, a jeśli pozwoli, to i ja wam wybaczę.

Panna Marya jest bardzo dobra. Pozwoliła więc, wysłuchawszy opowiadania i oskarżenia się Mani.

Obie dziewczynki pojechały na majówkę, a jak się bawiły i jakie tam miały przygody, opowiem wam niedługo.

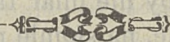
Zofia Kwiatkowska.



O, jak będę już dorosły.

— Mama mówi i ojculek,
 Że ich smucę, żem leniwy,
 Że gdy pracy nie polubię,
 Będę w życiu nieszczęśliwy...
 Babcia mówi, żem niegrzeczny,
 Dziadzio nazwał mnie krzykałą.
 Tak mnie wszyscy prześladują,
 Nasłucham się bur niemało!
 Cóż dziwnego, żem niegrzeczny,
 Lub, że krzyczę przy zabawie?
 Jestem jeszcze dzieckiem przecie;
 Później pewnie się poprawię.
 O! jak będę już dorosły,
 Taki duży jak ojculek,
 Nikt mnie pewnie już nie zgani,
 Nikt nie powie, że zły Julek!
 — Bardzo pięknie, moje dziecię,
 Chwalebne są twoje plany,
 Lecz należy tę poprawę
 Wcześniej zacząć, mój kochany.
 Kto z dzieciństwa nie przywyknie,
 Do zajęcia, do grzeczności,
 Ten leniwym i niegrzecznym,
 Pozostanie do starości.

II B.



SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

IX.

Marcinek nie zrażony przeciwnościami; chcąc się dostać do dawnej swej kryjówki, póty obchodził dokoła skałę, torował sobie drogę wśród odłamów kamiennych, aż wreszcie udało mu się usunąć jedną z mniejszych brył i przez wąski otwór przedostać się do grotty. Z radością ujrzał na wstępie ślady dawnego ogródka, okienko w murze i całe wnętrze grotty, prawie nieuszkodzone. Rozlokował się w niej niby właściciel wracający do swych posiadłości. Usłał łóżko z trawy i liści suchych, zajął się

porządkowaniem, a chcąc odświeżyć powietrze, rozpalili ogień i dla zapachu wrzucił kilka ziarenek jałowca. Posiłkując się, zasnął wprędce, zmęczony rannem wstaniem i uciążliwą wędrówką.

Po przebudzeniu podążył na szczyt skały, tam jednak nie znalazł ani gniazda, ani piór czaplich. Widocznie ptaki, ostrzeżone instynktem zachowawczym, porzuciły zagrożoną miejscowość; gdzie się jednak schronić mogły? Marcinek nie potrzebował już uganiać się za zyskiem i nie dbał tak bardzo o drogocenne pióra, pragnął tylko zobaczyć dawnych towarzyszy, przekonać się, czy go nie zapomniały. Rozglądając się uważnie dostrzegł szeroką rozpadlinę z drugiej strony skały; zapuścił się w głąb jej ostrożnie i doszedł wkrótce do niżej położonej pieczary. Ślady ptaków służyły mu za wskazówkę; znalazł też niebawem gniazda z jajami i wiele piór rozrzuconych na ziemi. Marcinek cieszył się z odzyskania kilkudniowej swobody. Zwiedzał szczegółowo wzgórze nadbrzeżne; zbierał drobne muszelki, czynił różne spostrzeżenia nad ptakami. Zauważył z przykrością, że czaple nie poznały go wcale, uciekały od rzucanego na przynętę chleba, dopiero gdy się oddalał, chciały wydzierają sobie pozostałe na ziemi okruchy, Marcinek miał nadzieję, że je oswoi w ciągu kilkudniowego pobytu.

Nie był on już niedoświadczonym dzieckiem, które niegdyś spędziło w tych stronach kilka miesięcy; nabył wiele pożytecznych wiadomości, nauczył się myśleć i rozważać nad tem, co go otaczało; przejęty uwielbieniem dla wszystkich twórców Bożych, podziwiał piękność morza, skał, ptaków, kwiatów, obłoków, a każda rzecz podwójnego nabierała dla niego uroku, gdy ją mógł dokładnie poznać i zrozumieć.

Pierwszego wieczoru po przybyciu do pustelni, ciemne chmury poczęły nadciągać od zachodu i niebawem zmieniły się w potoki deszczu. Mimo nadciągającej burzy Marcinek zasnął zaraz, choć odgłosy grzmotów budziły go od czasu do czasu. Aż nagłe uderzenie piorunu, który spadł w pobliżu, wstrząsnęło nim tak silnie, że zerwał się na równe nogi. Tysiące żalonych głosów rozlegało się w powietrzu; ptaki w popłochu latając w ciemności, trzęcały go skrzydłami. Był to cały obóz pierzastych sąsiadów, wypędzonych straszliwym gromem. Przerażone samice porzucały rozbite jaja, a pędzone wiatrem, szukały schronienia w ustronnej kryjówce Marcinka.

Zdjęty litością, chłopiec nie odpędzał natrętnych gości, a gdy burza przycichła trochę, zasnął pośród skrzydlatych towarzyszy, z których wiele martwych leżało dookoła.

Gdy się rozwidniło, ptaki uciekły z grotu; pozostały tylko rozbitki oślepienie lub okaleczone. Chłopiec opatrzył o ile mógł i umiał nieszczęśliwe stworzenia i poszedł się przekonać o spustoszeniach zrzędzonych przez nocną burzę.

Samice daremnie poszukiwały swoich jajek, a widząc, że nie odratować nie można, zwoływały się żalonym krzykiem i zebrały gromadnie na skale, jakby dla narady, potem smutnym głosem żegnając pozostałych ptaki, wzbily się w górę, skierowały lot ku morzu i zginęły bez śladu we mgle porannej.

Marcinek, nie mogąc doczekać się ich powrotu, przypuszczał, że może rozstały się na zawsze z niegościnnem wybrzeżem; podwoił zatem starań około porzuconych chorych czapli i tak je wkrótce oswoił, że jadły mu z ręki, dawały spokojnie opatrywać rany, wygrzewały się obok niego na słońcu, sypiając w ogródku lub w pustelni. Chłopiec czynił spostrzeżenia nad biednymi kalekami; znosił do grotu skrzydlatych pacjentów, których znajdował ze złamanymi nóżkami lub skrzydełkami, po różnych stronach wybrzeża. Wieczorem miał już ich pełną grotę; oddał im cały zapas chleba a sam głodny spać się położył.

Nazajutrz pobiegł do sąsiedniej wioski na śniadanie i przyniósł żywność dla ptaków.

Karmiąc i doglądając oswoił je prędko; zdawało się, że zapomniały o nieszczęściu, które na nich spadło i godziły się łatwo ze stanem zależności od człowieka. Litość powodowała Marcinkiem; z zadziwiającą zręcznością umiał składać złamane członki, a gdy który ptak wyleczony w ten sposób, mógł po kilku dniach o własnej sile lecieć na poszukiwanie żeru, bywał przez zdrowych towarzyszy nieprzyjaźnie przyjmowany i chronił się pod opiekę dobrego chłopca.

Po tygodniu Marcinek przypomniał sobie, że czas powracać, odchodził z żalem, chociaż pustelnia uszkodzona przez burzę, a szczególnie przez piorun spadły w bliskości, nie przedstawiała bezpiecznego schronienia. Nawet ogródek, niegdyś tak starannie uprawiony, zniszczonym został. Marcinek umyślił chore ptaki zabrać z sobą i oddać proboszczowi pod opiekę. Uplócił z chróstu duży kosz, w którym mógł pomieścić całą gromadkę inwalidów, zważywszy jednak, że nie uniósłby tak wielkiego ciężaru, wynajął w sąsiedniej wsi osła, uwiązał go na noc w bliskości grotu, a nazajutrz z samego rana miał się puścić w drogę.

X.

W nocy deszcz na nowo padać zaczął, tworząc coraz większe kałuże; Marcinek wstał przededniem, zgromadził ptaki, nakarmił je, ułożył w koszu trawę wysłanym, kosz zawiesił na osle, i puścił się w pochód. Naraz osieł posłyszawszy szum bałwanów, stanął jak wryty, uszy ze strachu stulił i kroku jednego postąpić nie chciał. Marcinek, widząc, że cierpliwością więcej wskórać można, zamiast smagać uparte zwierzę, zaczął je głaskać i czekał, póki nie oswoi się z łoskotem fali.

W tejże chwili na jednym z wybrzeży, wystającym nad wodą, chłopiec ujrzał coś niezwykłego: niby dwie ręce poruszające się przy małym korpucie. Sądząc z daleka, że to jaki olbrzymi mięczak, któremu dla osobliwości chciał się przypatrzeć, Marcinek zdjął ubranie i rzucił się w morze, płynąc prędko, o ile mu na to gwałtowne kołysanie fal dozwalało. Zbliżywszy się do skały, poznał, że to nie był żaden mięczak, ale człowiek rozpaczliwemi ruchami wzywający ratunku, niekształtne jego członki przypominały Marcinkowi szkaradnego krawca, który był postrachem jego dzieciństwa.

(d. c. n.)

SZARADA.

Ul. Skowronek z n. Warty.

Pierwsza płynie, w morzu ginie,
 Wielka, choć nazwa jej krótka.
 Druga, trzecia również płynie
 Choć bez nazwy i malutka.
 Wszystko w gronkach się czerwieni,
 Wśród ogrodów, w krzewów rzędzie,
 Gdy to gronko w sok się zmieni,
 I on także płynąć będzie.
 Do szklaneczki zianej wody,
 W letni upał dla ochłody.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Kondora królew.

Z następujących sylab: A—be—bia—bor—claw—cut—i—
 la—lań—ra—sam—wa—za—ułożyć 5 wyrazów, których pierwsze
 i ostatnie litery utworzą nazwę dwóch rzek w Królestwie Pol.
 1) Imię męskie. 2) Imię żeńskie. 3) Miasto w Galicyi. 4) Miasto
 w Galicyi. 5) Kraj w Azyi.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożyła Mania Lizoń.

1. Spółgłoska.
2. Rzeka w Galicyi.
3. Pora dnia.
4. Góry w Europie.
5. Napój pożywny i smaczny.
6. Prowirca Hiszpanii.
7.
8. Historyk polski.
9. Kraj w Azyi.
10. Miasto w Azyi
11. Bóstwo indyjskie.
12. Zwierzę afrykańskie przeżuwające.
13. Spółgłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery utworzyć mają tytuł
 jednej z nowelek Sienkiewicza.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

Ułożyła Wichura.

W kwadracie o 4 przedziałkach rozłożyć liczbę 164 w ten
 sposób, aby w każdym kierunku wypadła liczba 41.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 27-go.

Szarady: Ra — tu — nek.

Metagramu: Len — ren — sen.

Arytmogryfu kryształowego:

K
 L o t
 Ł a s k a
 P a n t e r a
 N o s o r o ż e c
 K o s t r z e w s k i
 P a n c e r n i k
 S ł o w i k i
 P e s z t
 A k r
 i

Kwadratu magicznego:

T w e r
 W o d a
 E d e n
 R a n o



Skrzynka do listów.

Rodzeństwu K., które ochotnie wzięło się do pracy, aby za
 robionego rubla ofiarować na Kolonie Letnie w imieniu biednych
 dzieci przesyłamy serdeczne: „Bóg zapłać!”

P. Maryi M. Nadesłanego rubla oddaliśmy pod wskaza
 nym adresem.

Stasi P., która chociaż tylko w interesie kilka słów nam prze
 słała, załączamy pozdrowienia.

Konik zapomina zawsze o podaniu swego adresu mimo, iż
 dokładność tę Redakcja tak często zaleca swym czytelnikom mi
 nowicie, gdy życzoną jest jakaś przesyłka, bo koników, sokółków
 i t. d. mamy dużo wśród czytelników. Tym razem przecież ksi
 żeczka na premium, wysłano ci już dawno według poprzedniego
 adresu.

Zbierane w skarbonce i teraz ofiarowawne na Kolonie
 Letnie przez **Jadwiszę S.** rub. 3. oraz w tymże samym celu nade
 słane rub. 5 od **Halinki Ko.** otrzymaliśmy i w imieniu biednych
 dzieci szczerze im dziękujemy.

Hoża Radomianka zrobiła nam wielką przyjemność swym
 liścikiem, którego szczegóły zapoznały nas z nią odrazu. Jaskół
 ka na lato wyfrunęła z Warszawy, ale gdy powróci niezawodnie
 ci odpisze. Tymczasem i nam będzie miło odebrać niezadług
 wiadomość jak upływają ci wakacje. Robótki konkursowe mogą
 być szyte maszyną. Najlepiej jest gdy do każdego przedmiotu
 przypiętą zostanie osobna kartka z imieniem lub pseudonimem
 i t. d., wszystko zaś razem jako praca jednej paniutki związaną
 tasiemką.

Własnego układu łamigłówni i szarady nadesłali: **Orze
 karpacki, Giermek, Marylka, Stokroteczka i Brzęcząca Muszka**

Dobre zaś rozwiązania: **Kadłubek, Helenka, Górski strumyk
 Chmurka, Zośka, Ignalek i Jadzia Mach.**